

ROZDZIAŁ IV

W wieży opuszczonego kościoła, wspinając się drewnianymi schodami, trzeszczącymi myślami dzwonnika ze spalonej Notre Dame, wspinałem się krok za krokiem. Ktoś powiedział trzysta osiemdziesiąt siedem stopni, trzysta osiemdziesiąt siedem myśli przeklinających samego siebie. Kręcące się wokół mnie opalone czasem i sadzą cegły, niczym mur wirujący wokół głowy. Jakże wymowne spojrzenia ukrytych oczu pod każdą wyszczerbioną cegłą. Poranne zmartwychwstanie, tak wyświętowane kawą po wiedeńsku z dodatkiem czekolady, z bitą śmietaną i posypką z cynamonu w kawiarni „Ziemiańskiej”, jakże wyimaginowane w świetle wziernika wwierconego mi przez Doktora Tarr w sam środek zwojów krwistej miazgi jaka ukazała się pod sklepieniem nieba. Moja ablucja w miejskim zakładzie kąpielowym w jednej z dwudziestu wanien tam w szeregu zapraszających, niczym łona dwudziestu dziewcząt nad rzeką się kąpiących, jakże powierzchowna, jakże nierealna. Jakże pusto bezowocnie się okazała. Tabula rasa, tabula rasa powiewająca bezsilnie na wietrze. Tabula rasa rozcięta skalpelem i sklejona psychoanalizą w czarnym fotelu, rozłożonym niczym kozetka profesora Fethera w piwnicznym gabinecie, czy może sali zabiegowej Maison de Sante wśród srebrzących łyżek do wykrobywania ducha z ciała.

Oparłem dłoń na chropowatości cegieł, chłodzie kamienia. Żółte żarówki pod sufitem rzadko rozwieszane wzdłuż czarnego grubego kabla oświetlały pięć stopni, by w milczeniu ciemnym pograć kolejnych dziesięć. Czarny wąż elektryczności niczym glista w głowie. Przystanąłem przy małym okienku w mur wciśniętym. Według obliczeń stopni pochyło wytartych, gdzieś w połowie drogi do wskazanego adresu mego przeznaczenia i w jednej trzeciej do legendarnego dzwonu zawieszzonego gdzieś ponad dachami miasta. „Dzwon, dzwon, Quasimodo tam dynda, dynda”. Przypomniałem sobie piosenkę z dzieciństwa.

Zbliżała się już godzina ciszy duszącej miasto pode mną, tramwaje skrzypiące coraz bardziej sennie powyginanymi torami zostały gdzieś w dole, czarne wołgi bezimiennie zaparkowały, ściany kamienic zmroczniały w wąwozach ulic, opuszczonych pospiesznie przez życie. Spojrzałem przez to małe okienko. Anioły nielotne zgromadziły się pod

ukrzyżowanymi sklepieniami. Maszkarony na krawędziach dachów trąc kamiennymi jęzorami o pustkę nieba zaczęły rozniecać ogień Świętego Elma by przy nadchodzącej burzy pławić się z upadłymi w tańcu Świętego Wita. Jakże ja znałem ten taniec wgryzany w patyk między zębami. Tłumne procesje ogarniające tańcem mężczyzn, kobiety i dzieci, aż do omdlenia. Wyjęte z prawa rozumu. Zbiorowe rytuały pleniące się zarazą od czasów zapomnianego w mrokach Akwizgranu, a coraz częstsze w murach miasta pode mną. Jakże napawały mnie strachem. Przerażeniem czyniącym niemożność wykonania najmniejszego ruchu, oddechu, w obliczu opętanego tłumu. Splunąłem przekleństwem brudnym na wszelkich bogów tego świata. Ruszyłem dalej wzwyż.

W końcu za sprawą swojej słabości, bezzwierzętości szczekającej dziko w osobie swojej, niech będzie przeklęta. Za sprawą skuszenia tego podstępного Doktora Tarr, który wraz z receptą tabletek i odkryciem najskrytszych snów, wręczył mi klucze do jedynej pokoju w dzwonnicy, w środku zamkniętego od lat kościoła, gdzieś między piekłem a niebem, jak powiedział na odchodnym, uśmiechając się złośliwie wąskimi wargami. W końcu dotarłem do zamkniętych drzwi. Wielka kłódka była zardzewiała, lecz klucz od doktora pasował idealnie. Są rzeczy znane i nieznanne, a pomiędzy nimi są drzwi – przypomniałem sobie kochanego Blake'a jak w zaciszu ogrodowych alei toczył dyskusje z Jimem. Otworzyłem ze zgrzytnięciem zawiasów, podrywając tym samym gołębice do ucieczki ku jeszcze jaśniejszemu na zachodzie między burzowymi chmurami przestworzom nieba. Wewnątrz niewielkiego pomieszczenia stały dwa stoły i jedno drewniane krzesło. Długie czarne prześcieradła zakrywały przedmioty stojące pod nimi. Ściągnąłem, wprawiając drobiny kurzu w wirujący taniec, a wszystko to w ostatnim promieniu słońca znad Maison de Sante wpadającym przez okno. Na stołach, zgodnie z obietnicą Profesora Fether, stały urządzenia niezbędne do prowadzenia audycji radiowych. Przysunąłem krzesło, przekręciłem zielone koło z napisem „Siła”, zabłysło, rozbłysło wskaźnikami, ruszyło wskazówkami. Podniosłem mikrofon do ust strzepując białą pajęczynę.

- Witam - powiedziałem w ciszę nie widząc, czy ktoś mnie słyszy, popukałem w mikrofon. Głuchy dźwięk gdzieś przeszedł pogłosem, by wątpiąc w swoje istnienie opaść na zakurzoną drewnianą podłogę.

- Witam - spróbowałem jeszcze raz - witam w świecie Darko de Cades. Uśmiechnąłem się do siebie, by po chwili zastygnąć w mimice obrazu Muncha. „Witam w świecie Darko de Cades” - usłyszałem ten cholerny głos, tę papugę w klatce dzieciństwa, przedrzeźniającą moje imię, akcentując z rozbawieniem żółtego dzioba “r” za każdym razem.

Odsunąłem mikrofon, odsunąłem krzesło, choć lampy próżniowe kusily, choć wskaźniki wychylały amplitudy, zielone oko patrzyło szumem fal radiowych.

*Szum układa las
jak włosy pod dłonią wynajętą
w pustych podniebieniach psów
jak w schodowych klatkach
gwiżdże wiatr
zielonookie radio "Romans"
otwiera przestrzeń fal
marynarzu już płynę⁶³*

Co ja sobie wyobrażałem? Kim ja jestem, aby mówić? Introwertyk na smyczy psychofarmakologii doktora Tarr. Mitrazapina garściami popijana propanolem, bezskutecznie. Ja, pełen przepelniającego milczenia. Pełen strachu, strachowi oddany. Rozrywającej od środka obawie przed niewłaściwym zachowaniem wśród ludzi, ośmieszeniem pisanym wielkimi literami... Duszno, duszno mi w bijącym zbyt szybko sercu... Wyłączyłem pospiesznie zieloną elektryczność w tej imaginacji Marconiego. Zaciśnięte pięści zaczęły wciskać gałki oczne w oczodoły nocy, czyniąc powidoki ze zdarzeń zaległych w umyśle. Jak czarno biały film, wybuchający czerwienią bólu w odgrywanych scenach. Pochyliłem przetrącony kręgosłup, kolana podciągnąłem, głowę na pięściach wbitych w mózg oparłem. Sceny przesuwane, strzępiące się żółcią do mnie, nie to swąd, żółć, czerwień, brąz, czerń, biel pęcherzyków powietrza z palącej się kliszy. Kamera podglądacza terkocze zerwaną taśmą. Wszechogarniające bujanie ciała na krześle, przód, tył, przód, tył, przód sceny, tył sceny. Migające porażenia nerwu wzrokowego. Wszystko wymieszane, wszystko splątane. Doktor Tarr jak portret trumienny ojca przesuwający koraliki moich kroków, matka na korytarzach Maison de Sante pełna krzyku w płonących wierszach.

*Wtapia się w ścianę
a ja
jestem strzałą,
rosą w samobójczym
locie, we wspólnym pędzie
do czerwonego*

⁶³ Grzegorz Kaźmierczak – „Zielonookie radio „Romans”

*oka, kotła poranku*⁶⁴

Zsunięty na podłogę zawierzgałem racicami w galopie ku przepaści. Zsunięty na podłogę, do ściany przypełzłem niczym czarny robak, by paznokciami z cegły wydrapać znów i znów ten tekst enigmatyczny w oknie trójdzielnym pisany przez nią. Tylko przez kogo? Tylko kiedy? Tylko gdzie? Tylko dlaczego? Przez matkę, przez wyobrażenie o niej ułomne, przez potrzebę ciepła, chorobie sieroczej równe. A jeżeli nie matki wołanie, to kogo w mej głowie? A jeżeli nie tylko w głowie, tylko realnie? W tamtym, tym świecie spotkanaż zwidę, albo nie zwidę. W Maison de Sante i tam też, albo gdzie indziej na stronach dziennika mojego ryciny, obrazy jakby swoje, a przecież nie moje zobaczyć, od wierszy jej pełnych cierpienia zapalić się kaftanem bezpieczeństwa. By nagle z pod łóżka w rogu pokoju oddziału męskiego wyleźć i spostrzec w twarzach mężczyzn tam ustawicznie siedzących, w ich oczach zamglonych ten jej płomień szalony. I uciec, albo nie uciec tabletkami doktora, pokrętlami radia obłaskawiony, przykuty, na ulicach miasta chorego, cmentarnych alejach, znaku tajemnego, przesłania jakiego, zrozumienia szukać. I szukać w malignie jakiej i poczuć lekki dotyk w ramię. Taki wręcz niezauważalny fizyczny, tylko opuszkami palca wskazującego, ale w jakiś sposób ciepłem przedziwnym rozlewający się w mojej turkoczącej po szynach tramwajowych głowie. Usłyszeć nad sobą głos kobiety, gdy stal zderzaka o cal. Głos tak realny, tak namacalny swoim istnieniem. Istnieniem tuż obok przez wszystkie czasy mną kołujące.

- To przystanek, na którym powinieneś wysiąść. Już dawno temu powinieneś wysiąść.

Otworzyć oczy. Odwrócić oczy, ku tej, co w porę mnie do rzeczywistości przywraca. Lecz ona, już Dojrzeć tylko długie włosy falami spod toczka zielonego, dojrzeć błękit jezior pod czarną woalką, dojrzeć gorset zielony, suknię długą i bukiet oszronionych czerwonych róż w ręce trzymany. Niepodobne to przecież w te zimowe dni, niemożliwe - pomyśleć pod ścianą dzwonnicy leżąc - tą zielenią spłynąć mimo zmrożonych róż. I jeszcze jej głos usłyszeć.

*Life is meant to be more than this
and this is a bum trip*

*It's so cold in Alaska*⁶⁵

⁶⁴ Sylvia Plath - „Ariel” (fragment)

⁶⁵ Lou Reed - „Caroline says II” (fragment)

- Panie de Cades, Panie de Cades - ktoś szarpał mną, wrzeszczał, otworzyłem oczy, by w blasku dnia dostrzec nad sobą twarz nieznanego mi mężczyzny.

Widząc mój nieprzytomny wzrok dodał:

- Jestem człowiekiem z dachu - mówił bardzo dużymi literami - zostałem przysłany tu przez Profesora Fethera i Doktora Tarr. Szarpiąc się z wiatrem, krukami i żelastwem tam zamontowanej anteny, po przyjrzeniu się sprawie, stwierdzam na mocy przyznanego mi dyplomu inżyniera, iż nikt wczoraj nie mógł Pana słyszeć, tej Pana transmisji, transmission jak Pan bredził chyba przez sen po zamorsku, gdy ja tu cierpliwie niezwykle czekałem aż Pan ...

- Tak? - próbowałem ogarnąć o co mu chodzi.

- No tak... te cholerne kruki obsiadły cały promiennik, i przez to fale nie płyną. Rozumie Pan? Pan musi je odganiać.

- Co?

- No, kruki, ja to nawet widzę je w Pana głowie.

- Kruki?

- A jak mam je odganiać?

- A skąd ja mam wiedzieć, co ja jaki psychiatra jestem? Ja inżynier jestem, inżynier Karwowski - powiedział dumnie.

- Weź Pan jaką kartkę, napisz coś i rób tak o ... Widzi Pan? I mów: sio, sio, sio - dodał po głębokim namyśle

W tym momencie człowiek z dachu nieczynnego od dawna kościoła, zaczął latać po pokoju mojej rozgłośni, jak ją nazwałem chyba wczoraj w myślach, wymachując rękoma i kartką papieru, krzycząc: sio, sio, sio.

- Jestem chory, bardzo chory - tylko pomyślałem do siebie.

I znów droga stopniami wytartymi w dół. Co powinienem zrobić? Co? Schodziłem. Poręcz wiała się chłodem fałszerzy rzeczywistości zaprawionych w twórczej konwersacji. Aż z ciemności ciągłych zakrętów prostokąt jasny uchylonych drzwi na zewnątrz. Przystanąłem w cieniu jeszcze schowany. Czuję ten blask na wyciągnięcie ręki. Popiół zamiast człowieka. Czy to mnie czeka po drugiej stronie? Wszak i tak popiołem jestem. Ręka wyciągnęła dłoń, dłoń wyciągnęła palce, dotknąłem opuszkami światła, nic. Zrobiłem krok, ramię całe zaświeciło blaskiem. Nic. Krok. But zakurzony rozjarzył się. Krok, twarz ciepłem dotknięta. Jeszcze oczy schowały się przerażone w oczodoły. Trwałem pomiędzy. Trwałem żyjąc w dwóch światach i po środku.

Czarne konie, czarne konie cztery, po bruku, stukot kopyt jednostajny przeciągnął karawan przez szkło odsłoniętym, odświętnie ubranym, cmentarnie żegnanym. Srebrne monety w oczy wciśnięte dojrzałem. Puder na pulchnych polikach i wypełnienie ciała na bogato przez mistrza ceremonii w czarnej liberii. Procesja zawodząc płaczkami w świetle słońca, podczas gdy ja trwałem żyjąc w dwóch światach i po środku. I tamtą procesję znowu dojrzałem, jakby sprzed setek lat, brukiem paryskim kroczącą, a dzieci się śmiały, a dzieci się śmiały.

Przebiegł chudy bezpański pies i szczur węchem próbował mojej ciemności. Zrezygnował z wejścia, bojąc się pomieszania zmysłów w krętych korytarzach Maison de Sante, gdzie wzdłuż ścian łóżka z adresem wymyślnym, skrzypiące fotele na metalowych kołach i rzemieniach na oparciach ponumerowane zerojedynkowo. Uśmiechnąłem się do siebie tą myślą przepelnioną.

Stary żyd, białobrody, zgarbiony, w spalonym palcie, ciągnąc wózek pełen popiołu z ksiąg uczonych, wciąż w drodze do domu. Wciąż bezdomny w getcie wypędzenia. Żółta gwiazda przywarła. Dzieci bez litości się śmiały, kamykami rzucając. Nie spojrział, nie zareagował, przygarbiony szedł w dół ulicą. Pogodzony, przyzwyczajony, dostrzegający coś poza ciężarem nieba a może właśnie w nim?

Zrobiłem kolejny krok. Powietrze. Stałem na progu.

Przesuwali się przede mną, przejeżdżali czarnymi wołgami po moich stopach znacząc swój ślad. Niezauważony stałem. Ktoś potrącił. Inny popchnął. Powietrze. W prąd się dostałem bezwiednie. Poniósł rzeką. Jeszcze zdążyłem się obejrzeć na prostokąt ciemny, tam, gdzie drzwi uchylone zostały na dzwonnice opuszczonej Notre Dame. Obijany jedyny przedmiot zdarzeń, nieistotnie płynąłem.

Czasami próbowałem w jakimś ruchu chaotycznym haust powietrza, haust siebie uchwycić ponad głowami, czasami próbowałem kierunek rzeki poczuć wypatrując nade mną w ścianach kamienic wskazówek, w symbolach wolnomularskich, znakach tantrycznych, w ruchu gwiazd po wstędze Mobiusa, w kamieniach pod podeszwami butów. Nie dostrzegałem. Opuszczałem wzrok na kroki, na dziennik obserwacji w dłoni jak rulon zwinięty. Zawsze przy mnie, jak zesnurowany ze mną,

nierozerwalnie niemalże od chwili przekroczenia drzwi Maison de Sante. Czym był? Spowiednik mój, Zdrajca mój.

Ludzi mijalem, ludzie mnie mijali a każdy swój dziennik obserwacji niósł na barkach, w dłoniach, otwarty, zamknięty, kochając i przeklinając w literach w nim płynących. Słyszałem to, wszystko słyszałem, bezsłownie, bez ustnie słyszałem w ich oczach. Wszak i moich.

I w tych rzecznych meandrach

*"Dla ciebie spalam się
a ty cały w dymie mych słów"*

Usłyszałem płomienie, dym duszący, słowa w zeszycie, dzienniku:

*Dzisiaj ciężko oddychać
drapię krwawiącymi paznokciami mur
by chociaż nieśmiałym wyłomem
serce przecisnąć
lecz jutro
niebem błękitnym
wzniesiona się stanę
oczy przetrę
widząc intencje
cienie rzucane chmurami
i nie pytaj
czemu uśmiechem się lekka stanę*

Nie dostrzegłem, kto rzekł, czy rzekł, czy w mojej głowie przeciśniętej przez dziurkę od klucza. Dłoń ścisnęła dziennik, palce poczuły obrazy, lampę uliczną co mijaną złapałem oburącz, by w prądzie rzeczonym tym się zatrzymać. Fale ludzkich palt otaczały mnie, przepływały przeklinając moje zatrzymanie. Uniosłem oczy ponad głowy, gdzie jestem? Tam, budynek poczty narożnie, za nim jak w lewo skręcę, się wyrwę, długo pod górę, dojdę. Przecież ... gdzieś ...

Wtem wpadł na mnie mężczyzna w palcie rosyjsko sobolowo modnie skrojonym, owinął oddechem szczura, co statek swój morzu powierzony gna na skały zrozumienia. Jego usta, zapisywane na stronach zeszytu, udostępniane wiadomościami w listach, komentarzach do wszystkiego

i niczego, byle zaistnieć w maskę ubrany, wygryzione głodem akceptacji szeptały dychotomicznie:

*W grze towarzyskiej
ubrany w perfumowane myśli
plotę banały
zachowuję się
liżę konwenanse
uśmiechem odpowiadam
masce
w lustra odbitym świetle
i syczę ...
syczę nienawiścią we mnie na mnie patrzącej*

byle zaistnieć w księdze twarzy, byle być zauważonym, choć na chwilę, parę chwil...

Palcami rozgrabionymi jak gałęzie kolczaste, twarz moją próbując dosięgnąć jakby własną maskę chciał zerwać. Oczy rozbiegane przywarł ku moim, a wszystkie przebłyski w nich krzychały błagalnie - publikuj, telegram ślij, jak i ja ... ja muszę, muszę. Zawył zgrzytem zranionym. Cofnąłem się gwałtownością całą, oderwałem przerażeniem odpowiadając. On krok na mnie, ciałem zwiśł, ciężarem na mych ramionach oblepił. Nie mogłem ruchu wykonać, dusząc się jego ustami w szepcie obłędnym. Cofałem, cofałem się w tłum napierający zewsząd. Tłum ustami wykrzywionymi, tłum bezzębnymi otworami, otworami poczerniałymi odorem, uśmiechami litości, fałszywymi uśmiechami, tłum wąskimi ustami tych co wiedzą lepiej i tych co nie wiedzą już nic. I wszystkie usta mówiły, wszystkie komentowały, wszystkie telegrafowały. Listy kochanek i notorycznych samobójców, poetek i poetów sprzedających słowa za chwilę złudzeń i lubieżne usta dziewczek portowych. A wszystkie usta szalone, a wszystkie samotne. Aż on padł przede mną, jeszcze swój dziennik dzierżąc w zaciśniętej pięści, a ja poczułem wczepione w moje włosy palce kobiety co za mną, do mych pleców przywarła.

Zakryła oczy moje, stając za mną, dłońmi jak dwie monety greckie albo kamienie ciężkie, choć ulotne na wietrze. Usta spierzchnięte do ucha zbliżyła krzyżąc siebie po tylu latach milczenia, winę i nie winę swoją:

*Zamknięcia
zatrzaśnięcia
drzwiami
przed twarzą w twarz
bezślowe
milcząco
krzyczące
wyciągnęłam jeszcze ręce
przetracone gołębie*

*kroki twoje
wściekle deptające skrzydła moje
za zamkniętymi
zatrzaśniętymi
drzwiami*

Szloch matki szeptem bezsilnym w duszności skrępowanej pod szklanym kloszem przez ojca nałożonym się rozdarł.

Krzycz mnie, krzycz mną - wciskała płaczące dłonie w moje oczy, gdyż jej ból był moim udziałem. Jej Ariel, ona Arielem w samobójczym pędzie, gnał we mnie gubiąc podkowy szczęścia w niekończącej się wielkiej gonitwie. Bo czyż nie dobija się koni w maratonie tanecznym? Pod szklanym kloszem próby, próby bezskuteczne, próby rozpisane kapiącą krwią z naciętych żył, w moją głowę, serce ze szkła pękające, aż wreszcie odejście ciche, jak zwykle nie w czas, mój czas. Jej wiersze jak łyż olbrzymie albo ostre narzędzie zbrodni na sobie, w którym tonąłem od zawsze krzycząc winę swoją i nie winę, oskarżając ojca o pustkę nieba i chłód ścian. Na jakiś moment wyrwany ze wspomnień, stanąłem bokiem do siebie, spojrzałem na tę postać skrępowaną samą sobą, przeszłością tak jakoś ożywioną w murach Maison de Sante i dzwonnicy Notre Dame. Czułem to wszystko w tej chwili doskonale, choć przecież tylko obrazem, powidokiem ona być musiała, we mnie światu udostępnioną, tłumaczyłem sobie siebie. A jeżeli nie? A jeżeli nie ...? Chwyciłem jej ręce, oderwałem od oczu, jakbym sznur, kabel jaki przerywał nas łączący, choć czy mogłem, choć czy prawo miałem? Moja wina, moja znowu wina. Odwróciłem się próbując coś słowem jeszcze uchwycić, powstrzymać, ciepłem śnionym, w dzieciństwie wymarzonem, lecz ona zwiotczała w tej chwili, zapadła się w siebie, mnie w zimno ciągnąc.

Spróbowałem rozgarnąć powietrze, opar nagle wilgotno duszny wokół, bagnisty, zamachnąłem nadaremnie, gdyż fala ciał, palt bezimiennych,

surdutów wyzynie spoglądających, wyblakłych wymaganiami garniturów urzędniczych, sukien powabnych igrających losem nie swoim, łachmanów pijanych lęgnących się w otworach ściennych kamienic czynszowych, porwała, porwała po ścianie ceglanej przeturlała, przeturlała, przycisnęła do cegły chropowatej, gdzie człowiek na wprost mnie stanął.

Ten sam człowiek co zawsze. Ciężarem życia przegranego na szeszlunku w rogu pokoju zaległy. Kurzem pokryty. Z gazetą coraz gorszych wiadomości. Za zasłoną z czarnego weluru nikotyny i krwawiących bezsłownie działseł rozświetlanych żarem duszącego dymu. Biurkiem pruskim otoczony jak warownym zamkiem, pełnym rozkazów i zasad, bo inaczej nie można, bo inaczej nie potrafi, bo inaczej nie chce, bo nie ma miejsca dla słabych. Ten sam człowiek co na portrecie trumiennym przeze mnie dźwigany.

*Wydłubany tyżką
skurczony kątem
zamieciony pod oskarżenie twarzy
przyzwyczajony granicami ścian
sięgnął po następnego papierosa*

Ojciec popatrzył tylko na mnie próbując nerwowo odpalić. Drżąca ręka drżącym płomieniem zapalki, kolejnej i kolejnej, bezskutecznej. On już nic nie chciał, nic nie mówił. Jedynie jego oczy widząc mnie, widząc tego co miał być silnym ciałem i duchem, co karierę urzędniczą miał czynić, a matki kalką się stał, błagały, by stać się ostatnim skrzętem, popiołem żarzącym strzepniętym na bruk przegrany. Co miałem mu powiedzieć? Co mogłem mu powiedzieć, poza tym ...

*Moja tragikomiczna izolacja
zawsze w niej będę
pod twarzą schowany
krawatem jedynie słusznym ściśnięty
na sznurkach tłumy drgający*

Gepetto, ojczy! – krzyczę błagalnie

nie kłam! – słyszę jego oskarżenie

nie będzie inaczej! – krzyczę rezygnacją

*jutro
będą się śmiać
przeklinać
palcem wytykać*

*pojutrze
w nowym Birkenau spalą*

i nie będzie inaczej

I co miałem powiedzieć, gdy wszystko już wykrzyczałem w jego portretu trumiennej martwej ramy.

Zdarłem naskórek dłoni, co ścianom miażdżącym próbowała się oprzeć, zaskwierczała ogniem zapalki, by zgasnąć w ojca milczeniu, gęstym jak czarny dym z równo maszerujących kominów nowego Birkenau.

*Ein Mensch
Ein Ziel
Eine Weisung
Ein Herz
Ein Geist
Nur Eine Lösung
Ein Brennen
Der Glut*

Ja!

*Ein Gott
Ein Leitbild*

*Ein Fleisch
Ein Blut
Ein wahrer Glaube⁶⁶*

A i on w tym pochodzie z krzyżem i flagą narodu, żaloszny, silny tłumem. A i ja zgasnąć w jego milczeniu obwiniającym mnie, obwiniającym chorą duszę matki tonącą co rano w Ariela samobójczym pędzie. Obwiniającym

⁶⁶ Laibach – „Geburt einer nation” (fragment)

za pasmo porażek za nim, we mnie się ciągnących koleją transsyberyjską przez coraz mroźniejsze stopy nieistnienia.

Aż ślepa chropowatość ściany stała się wkręcany powoli, bardzo powoli, ruchem posuwicie nieustającym, wziernikiem doktorów w umysł, duszę, serce moje ciężko bijące. Znów i znów stała się badaniem, obserwacją, niekończącym się korytarzem, wózkiem inwalidzkim, badaniem i obserwacją zapisywaną ołówkiem w zeszycie, każdym pokojem z zakratowanym oknem, salą przeistoczeń, gdzie krzesła w krąg i zwidy pragnień wypływające, łyżeczkowaniem przeszłości zatrzymanej w otwartym szczypcami oku, po schodach w płomienie, skwierczeniem mięsa w salach otępienia i wrzaskiem lewitujących ptaśków, obrazem na kartce, słowem na ścianie. Słowem w ustach doktorów i moim milczącym zdaniem.

*Nie rozmawiam
chowam się
w sobie*

mój cichy

*zduszony strach
pełźnie*

*zastawionym stołem
szurającymi krzesłami
skoczną muzyką*

*jak tam?
co sądzisz?
czy wszystko ok?
głosy
wokół*

*zszyta mimika
wzrok spłoszony
splątany język*

*nijak
sądzę*

niezmiennie dobrze

*ja nie rozmawiam
błagam
ja nie rozmawiam*

I znów tabletkami coraz mocniejszymi. Pełnymi garściami. Faszerowanie. Świnia na rzeź. Ubojnia pełna zapachu litości i chloroformu.

*Mięso z kośćmi
po trzy kopiejki za kilogram
okazyjnie przecenione
zduszoną duszę
ciągnie
milczenia
sznurkiem związaną*

*krokiem otępiatym
za krokiem w iluzje*

*a ziemia
bagnista
ciężka*

*a niebo
bezduszne*

I te diagnozy mnie we mnie wmawiające, niczym chińskie samospelniające się ciasteczka życzeń sprzedawane na receptę przez szarlatana szuję w kamienicy narożnej, piętro trzecie, mieszkania 72. (Adres dobrze znany polizmaistrom).

I te recepty jak powieść w odcinkach wypisywane drobnym drukiem, by stać się kolejnymi stronami zeszytów ściskanych w dłoniach ludzi zapelniających poczekalnię przed gabinetem Profesora Fethera i Doktora Tarr, gdzieś za miastem na siódmym przystanku wśród pól i zbóż powalonych deszczem.

I te zeszyty, gdzie każdy wpis pełen polubień czy nienawiści. Uzależniająco uzależnionych.

Ach ja!!!

*Od tamtego roku
hoduję czerń
krew moją*

*co wannę z nadgarstków
wypełnia*

*od godziny wieczornej
na sznurze
myśli zawiste
żałobnie wiersz piszą*

*podobno
to płaty obdarte*

tak mówią

doktory?

*a ja się uśmiecham
jakoś tak krzywo
jeszcze im nie wierząc*

Niech i tak będzie, gdyż już nie będzie inaczej.

I nawet sprzedaż portretu trumiennego ojca na lichwę Alonie Iwanownej, tej dusząco dusznej przeszłości w obrazie istniejącej, z obrazu wysuwającej macki obślizgłe, nie stała się win nieswoich odpuszczeniem, kamieniem milowym, godziną zerwania, punktem granicznym. Czymkolwiek, co oddech by dało nad wody mętnej taflą. Tylko ... tylko nawet tu, na ulicy, w tym tłumie równo przeze mnie maszerującym, łańcuchem, co wokół szyi zawisł, obrazem przeszłości, garbiąc mnie ku pustej ziemi. O nie, nie pustej! No przecież, że nie pustej! Zapelnionej, a jakże, przepelnionej czarnymi megierami dziedziczenia, tak celnie opisanymi w artykule opata zakonu augustianów w Brnie pod tytułem: *Versuche über Pflanzen-Hybriden*, który onegdaj czytałem w "Ziemiańskiej" pomiędzy łykiem gorzkiej kawy a dymem papierosa, próbując pojąć wrodzoną depresyjność ostatniego kawałka gnijącej szarlotki, albo co gorsza grochu zwyczajnego, jak sugerowały wymownie litery tekstu, a którym się stawałem w myśl tam głoszonego prawa. Syn z syna, ojciec

z ojca i tak bez końca. Wszyscy tkliwie zamknięci w pustostanie swoich myśli. A i przecież tych parę dni zaledwie temu, czy może lat oszronionych trwaniem w zawieszeniu, boginią zemsty, furia, czy erynią jaką ogarnięty, co kazała mi na klęczkach, dłonią wyciągniętą w malignie jakiejś, domagać się od Doktora Tarr, na powrót zwrotu, na powrót oddania mi tej przeszłości, od której tak pragnąłem uciec czyniąc mnie bezpowrotnie nieuleczalnym.

*The past is now part of my future
The present is well out of hand*⁶⁷

- „W życia wędrówce, na połowie czasu, zniesiony stopą w obłądne koleje, pośród ciemnego znalazłem się lasu.”⁶⁸ - zaśmiały się szyderczo twarze doktorów, co pierwszego dnia w Maison de Sante na reliefie dostrzegłem. Jakże wymownie, jakże celnie w tym korytarzu zapomnianym, a może złudnego zapomnienia. Wtedy jeszcze nie przeczuwając niczego ... dumny wierszokleta, co sobie ubzdurał powieść niewinną, od taką tam opowiastkę do pociągu linii podmiejskiej. A tu pociąg zapętlił się w podkładach zmurszałych, torach rozstajnych. Wykoleił się w koleinach psychoanalizy dogłębnej podsycanej przez szarlatanów współczesności, słowem, obrazem, ciałem się stając... Durak! Durak! Durak!

Kropla potu co bruzdą moją spływała, zamarła chłodem jakimś nagle nadeszłym. Cegła oparciem mi będąca wilgotnie zawtórowała ciszy. Palta idące nastroszyły kołnierze, skrzydła krucze. A jakże!

- Durak, durak, durak - zatrzepotały przede mną bezdźwięcznymi kastanietami tych co wiedzą lepiej. Ciągnąc mnie na środek ulicy za rękę, kaftana rękawy, zażądały natychmiastowego rozplątania myśli moich. Obnażenia w tańcu chocholim, w tańcu Wita świętego, płasawicy zdziczałej. Gdyż ...

- Nie jest rzeczą normalną, społecznie akceptowalną, stać z boku! - krzyknęło pierwsze szare palto w moją twarz przerażoną.

- Jest wielce podejrzaną, nie śmiać się, gdy wszyscy się śmieją! - zawtórowała mu jesionka frywolna i za kością na pół obgryzioną pobiegła.

⁶⁷ Ian Curtis/Joy Division - „Heart and soul” (fragment)

⁶⁸ Dante Alighieri - „Boska komedia”

- Kto nie jest z nami ten przeciw nam! - huknęły mi nad uchem rzędy maszerujących czarnych koszul narodowo bogu oddanych.
- Wszyscy razem! Wszyscy razem! Tańcz, tańcz nędzny robaku- zdawały się krzyczeć otaczające mnie zewsząd usta. Krwawiące dziąsła bielą flagi niewinnej wytarte. Czerwień i biel martwej chorągiewki.
- „Człowiek jest czymś, co pokonanym być powinno”⁶⁹ - wyszeptałem do siebie obślizgło dotykany przez oszalały tłum wyprasowanych w kant ubrań.

*Crazy,
Over the rainbow, I am crazy
Bars in the window
There must have been a door there in the wall
When I came in
(Crazy, over the rainbow, he is crazy)*⁷⁰

- Nie ma, nie ma, nie ma żadnego wyjścia - chór syren zdradliwych wznosił tonacje w unisono ponad ulicy zbiorowym pulsowaniem.
- „O nic nie błagaj, bo próżne marzenia, by człowiek uszedł swego przeznaczenia”⁷¹ - śmiech ich, śmiech ich szyderczy w głowie mojej.

*Cembrowinami
studni bezdennej*

*zapadam
- zapadasz*

*kręgi
coraz dotykaniem chłodniejsze
szorują milczeniem*

- mów do mnie, mów

*dłonie
plecy
język
starte o kamień*

⁶⁹ Friedrich Nietzsche - „Tako rzecze Zaratustra”

⁷⁰ Pink Floyd - „The Trial”

⁷¹ Sofokles - „Antygona”

- chwycić moją dłoń.

łańcuch z kołowrotka złudzeń
cięży bezdennie
bezdennie

a woda miękka
taka zimna ...

- Nie! *It's so cold in Alaska!*⁷² - wdarły się we mnie usta z rzeki rwącej gdzieś przede mną przepływającej. Nade mną, nad topielcem sinym, usta rozchylone. A może usłyszałem ..., a może akt życia mi darowanego w jakimś oknie, drzwiach uchylne czekających na powrót tego co wyszedł, co zgubił się w mieście malowanym iluzjami przez pragnienia tych co ukryci pod maskami w tańcu chocholim snują splekanych luster opowieści. Usłyszałem tam, tłący się przecież nie od wczoraj płomieniem błękitnym głos, jak błękitu jeziora oczy we mnie uważnie wpatrzone. A teraz, przez chwilę, mgnienie dosłowne, coraz wyraźniejszy, coraz głośniejszy. Przywarty to ściany, wzrokiem omiotłem płaszczyzny okien, ślepe, obojętne. Tynk łuszczący i cegła szerniała. Cembrowiny wokół się wspinające. Na sznurach bieliźnianych, łańcuchach z kołowrotka złudzeń, od muru do muru, nad ulicy cieniem wiersze rozwieszane, wypatroszone wnętrza martwych poetów. A ja wśród nich dziennikiem obnażony, tym zeszytem szarym, zbiorem wpisów, co istnieją przez chwilę w oczekiwaniu reakcji kogokolwiek. Kogokolwiek akceptacji w księdze twarzy unoszącej się wokoło.

- Jakże to, jakże? Co mówisz do mnie? Jakże zrozumieć? Jak pojąć te słowa? - próbowałem uchwycić dłoń nad taflą wody wyciągniętą.

- Desperacji słowa - usłyszałem ciche westchnienie, wciąż nie widząc przez opar mnie duszący.

- Gdzie jesteś? Gdzie?

Stała wtedy przede mną, jakby stała tam od zawsze, gdyż stała tam od zawsze. W tramwaju powrotnym z pustych alei cmentarnych, gdzie trumiennego portretu ojca szukałem.

W knajpie duszącej, pełnej palt, w której z nieznajomym, znajomym, w lustrze odbitym pijąc, w lecącym kluczu żurawi ją dostrzegłem jak przyszłość co martwą stać się mogła.

⁷² Lou Reed - „Caroline says II” (fragment)

Przed gabinetem dyrektorskim na audiencję czekając, drżącymi dłońmi zeszyt przeglądając przepelniony nagle nieznanymi mi obrazami, co nawoływały do mnie chóralnie z ciemności swojej, a ja wtedy może po raz pierwszy ten pojedynczy głos w języku zamorskim usłyszałem – „It's so cold in Alaska”. „It's so cold in Alaska”.

I była tam, gdy ja leżąc ścierwem przed monumentalnym portalem banku mego wyrzucony jak zbędny trybik maszyny. Maszyny? Gdzież tam maszynyki parszywej do mięsa.

Pamiętałem, wszystko pamiętałem, ale jakimś zabiegiem, ingerencją, zaćmieniem moim pojąć nie mogłem. Ogarnąć. Niby słyszałem, niby widziałem, ale jakbym przez szybę, witraż ze szkielek, co jak w kalejdoskopie się ciągle ruszają, zmieniając umiejscowienie i sens.

I jeszcze w Maison de Sante ten głos słysząc. Pamiętałem.

Tylko kim? Tylko dlaczego? Tak blisko, tak mocno. Te słowa. Wciąż te same.

Dostrzegłem długie włosy falami spod toczka zielonego, dojrzałem błękit jezior pod czarną woalką, dojrzałem gorset zielony, suknię długą i bukiet oszronionych czerwonych róż w jednej dłoni trzymany.

- Cały czas tu, cały czas obok. Widzę speed w każdej wyciągniętej dłoni, widzę w każdym otwartym zeszytce. Czyż to nie jest burn trip? It's so cold in Alaska - mówiły teraz usta tuż przede mną wyraźnie, tak abym wreszcie pojął, realność ogarnął.

- Ale ... Profesor Fether, Doktor Tarr mówili ... Księga twarzy Obrazy, wiersze, wołanie ... Ale ten krzyk serce rozdzierający ...

- Nie ma tam żadnego „ale”, nie ma tam nic ... - powiedziała łagodnie rękę moją próbując uchwycić, lecz ona, dłoń moja, widziałem to dokładnie, powietrzem zimnym się rozwiła. Falą lodu co napłynęła jakąś chłodną determinacją zaryglowania wszelkich zamków mnie otaczających.

Zaplotłem ramiona wokół, rękawy kaftanu mego. Kolana pod brodę. Embrionalnie w pozie milczącej schowałem siebie.

W trwaniu zastygłym zimnem, wciąż nie rozumiejąc sensu słów, zamiaru czynów, wciąż widząc, czy też wmawiając w siebie garściami tabletek realność nowych światów, tej terra incognita tak kuszących, ruchem głowy na prawo i lewo zaprzeczyłem. A zaprzeczeniem, co tylko bezsilności znakiem, symbolem zagubienia było, a nie odtrąceniem dłoni ku mnie wyciągniętej, zranieniem się stało, co dostrzegłem po reakcji w tej minucie zbyt późnej. Może mylnie odczytany mój gest, milczenie mylnie odczytane, we mgle mojej lodowatej spotęgowane. Moja wina. Moja wina. Moja wina.

Cień
światli się
zachłannie
kamieniem ciężarnym
oknu
spojrzenie zaczernia
drzwiom
bezwyjściowość wmawia
siedzę cicho
czekając aż przejdzie

Czy to ja, czy ona? Krok chciałem zrobić, rękę wyciągnąć by zatrzymać.
Lecz ... ktoś inny pochwycił już mą dłoń ciągnąc w tłum tańcem
oblędnym ogarnięty.

Trzymany w uścisku mocnym, plecy mojego porywacza jedynie widząc,
biegłem w łańcuchu jakim, pociągu bydlęcych wagonów. A tych
wagonów mogło być ze czterdzieści. Nie bzdura jaka. Setki, tysiące, naród
cały. W objęciach lubieżnych tancerek rewiiowych, co z piórami kwiatów
polnych na gołych tyłkach biodrami ruszały w akcie patriotyczno-
religijnej kopulacji. A z gardeł ich wszystkich samogonem wypalonych
ryczący zaśpiew szedł wąwozem ulicy.

Ukochany kraj,
Umiłowany kraj,
Ukochane i miasta, i wioski,⁷³

i ze zdwojoną siłą

Ukochany kraj,
Umiłowany kraj,
Ukochana i ziemia, i nazwa,
Ukochany kraj,
Umiłowany kraj,
Nasza droga i słońce, i gwiazda.⁷⁴

⁷³ Konstanty Ildefons Gałczyński - „Umiłowany kraj” (fragment)

⁷⁴ Konstanty Ildefons Gałczyński - „Umiłowany kraj” (fragment)

Na znak zawiadowcy, naczelnika siwego co w czarnej wołdze na tylnym siedzeniu kota pieścił, tłum podniósł o oktawę pijacki ryk.

*My trudności wszystkie pokonamy,
Żaden wróg nie złamie hartu w nas,
W słońce jutra otworzymy bramy,
Rozśpiewamy, rozświecimy czas.
To dla ciebie najgorętsze słowa,
Wszystkie serca, siła wszystkich rąk,
To dla ciebie, piękna i Ludowa,
Każdy dzień i każdy nowy dom.⁷⁵*

- Tak Panie de Cades, to wszystko ingerdience występujące statystycznie w każdej grupie, co ze ścian powyginanych budynek niepodobny do niczego co natura nam dała, budynek pocztowy tworzy, gdzie ruch telegraficzny, nieustający. Słowem, obrazem, podprogowo. A my tylko napromieniowane potrzebą zaistnienia przedmioty poddane wzajemnym wpływom - Madame Curie w ołowianym fartuchu spojrziała na mnie uważnie znad olbrzymiego mikroskopu zamontowanego na wiejskiej furmance, na którą wpadłem siłą odśrodkową zakrętu pociągu tłumnego co niechybnie ku samozagładzie zdążał. Koła wozu drewniane toczyły się zanurzone w błocie kłocznym, lecz mikroskop lśnił w słońcu złościście.

- Madame, skąd Pani...?! Dokąd? Co Pani mówi...? Czyim wpływom? - próbowałem, przekrzykując wrzawę ulicy, zapytać. Uchwyciwszy drewniany podest, wyciągając but za butem z brei biegłem obok tego cudu techniki obserwacyjnej.

- Madame Curie proszę, błagam się zatrzymać - dyszałem ciężko próbując złapać, próbując się wspiąć, by wzrokiem odnaleźć gdziekolwiek dłoń co ku mnie chwilę temu wyciągnięta była.

- Jaki budynek? Co znaczy pocztowy? - czułem niemal jednocześnie napór gorączką jaką objęty, pytań we mnie, do gardła podchodzący.

- Panie de Cades, czy Pan naprawdę nic nie rozumie? Czy jest Pan takim ślepcem?! - nie patrząc na mnie coś do woźnicy w czapce chłopskiej z pawim piórem krzyknęła, a ten gwizdnął przeciągle, szkapę zdyszane nagle zatrzymując.

- Panie de Cades, Panie de Cades - popatrzyła na mnie ubłoconego z piedestału w słońcu lśniącego mikroskopu - Widzi Pan tamten

⁷⁵ Konstanty Ildefons Gałczyński - „Umiłowany kraj” (fragment)

budynek? Widzi Pan neon przekrzywiony z napisem "POCZTA"? Widzi Pan tych ludzi, co siebie depcząc tam się pchają?

- Widzę.

- „Są rzeczy znane i nieznanne, a pomiędzy nimi drzwi” - usłyszałem z jej ust słowa już wcześniej mi dane, już wcześniej mi znane.

- Tak ma Pan rację - jakby czytała w mojej głowie - to słowa naszych kochanych doktorów. A tam są drzwi do M ...

Głos jej zanikł w powtórnym ryku zjednoczonych umysłów.

Umiłowany kraj,

Nasza droga i słońce, i gwiazda.

Umiłowany kraj,

Nasza droga i słońce, i gwiazda.⁷⁶

- ... a Pan jest głupcem - usłyszałem. Madame Curie spojrzała na mnie z politowaniem, dłonią otwartą wskazując niekończące się morze palt szarych kłębiących się wokół o twarzach trupio białych rozświetlonych zeszytami i jeszcze i jeszcze raz, poddane jakiejś niekończącej się halucynacji, wyśpiewujące wąskimi ustami obłędu.

Umiłowany kraj,

Nasza droga i słońce, i gwiazda.⁷⁷

- Nic, ale to nic Pan nie widzi. Ślepy i głuchy. Jak te kreatury w tańcu chocholim!

- Ja?! Nieprawda! - przekrzykiwałem tłum - Nieprawda!

- Nieprawda!? A dłoń, ku Panu wyciągnięta, to też nieprawda?! A słowa przestrogi z miłości kołkiem drewnianym w Pana durne oblicze wbijanym przez kobietę w zielonej sukni, to też nieprawda?!

- Co? Skąd Pani?

- Po prostu wiem - Madame Curie oparła się o mikroskop jakby całym ciężarem wiedzy posiadanej. Jakby utraciła całą swą siłę.

- Po prostu wiem - powtórzyła przesuwając dłonią po śrubie mikrometrycznej, a olbrzymie lustro odbijając światło zajrzało we mnie.

A tłum wokół nas falował złowrogo i coraz głośniejsze.

⁷⁶ Konstanty Ildefons Gałczyński - „Umiłowany kraj” (fragment)

⁷⁷ Konstanty Ildefons Gałczyński - „Umiłowany kraj” (fragment)

*Umiłowany kraj,
Nasza droga i słońce, i gwiazda.⁷⁸*

Ubrania, ubrania szare wszędzie. Śmierdzące jesionki, w podartych rajstopach ze zużytym łonem. Zapijaczone palta egzystujące w bezokiennych kamienicach, od zawsze na zasiłku szczodrej ręki swego Pana. A on w czarnej wołdze pieszcząc kota. Brudne dzieci ulicy obgryzające kość, nisko, nisko mu się kłaniające, na kolanach siadające.

A tłum wokół nas falował złowrogo i coraz głośniej.

*Umiłowany kraj,
Nasza droga i słońce, i gwiazda.⁷⁹*

Z gigantycznych megafonów rozwieszonych na słupach głos przywódcy narodu, tego narodu, wrzeszczał, cedząc każde słowo:

My nowa elita kulturalna
My nowa elita moralna
My nowa elita ekonomiczna
My naród

A tłum wokół nas falował złowrogo i coraz głośniej.

*Umiłowany kraj,
Nasza droga i słońce, i gwiazda.*

*Umiłowany kraj,
Nasza droga i słońce, i gwiazda.⁸⁰*

Nagle czyjeś ręce pochwyciły mnie, z wozu zepchnęły w to morze bezdenne wrzuciły. Na bruk padłem, pod buty równo maszerujące. Nim sponiewierany stanąłem na nogi, wóz z Madame Curie już się oddalił.

⁷⁸ Konstanty Ildefons Gałczyński - „Umiłowany kraj” (fragment)

⁷⁹ Konstanty Ildefons Gałczyński - „Umiłowany kraj” (fragment)

⁸⁰ Konstanty Ildefons Gałczyński - „Umiłowany kraj” (fragment)

- Pamięta Pan naszą rozmowę? - krzyknęła jeszcze do mnie zanim drewniany wóz ciągniony przez cztery zdyszane szkapy, turkocząc i trzeszcząc ciężarem rozczepianego kobaltu zjechał w dół ulicy poprzez z trudnością rozstępujący się tłum podrygujących rytmicznie masek. Przypomniałem, przypomniałem sobie, patrząc jak się oddala, tamtą rozmowę w piwnicznym korytarzu Maison de Sante, co do każdego jej słowa:

„Czym my jesteśmy? Zderzamy się z sobą w przypadkowych fluktuacjach, bez żadnego wpływu na naszą drogę. Rzeczy się zdarzają Panie de Cades, a Pan jest tylko przedmiotem zdarzeń. A cały Pański świat jest tutaj”

I stanęła mi przed oczami, tam w kazamatach mrocznych Maison de Sante i tu w tym tłumie, z jakąś dla mnie wówczas niepojętą rezygnacją. Gestem, dłonią krąg zatoczyła - krąg murów otaczających i okien, ogrodu i niekończących się korytarzy, dachu spadzistego i schodów, okna trójdzielnego pod kopułą patynową, skupionych oczu Doktora Tarr i Profesora Fether katalogujących kolejne strony księgi twarzy, naszych twarzy.

I w tym samym widzeniu, co wśród twarzy w gonitwie przemykało sobie nie wierząc, siebie nie znając, ponad głowami w tańcu chocholim, budynek poczty dostrzegłem. Powoli, na wzniesieniu się wyłaniający, spinający tym swoim górowaniem pulsujące żyły ulic. Spojrzałem, głowę zadzierając. Morze falujących głów obijało się o jego brzegi. Przetaczało kamiennie falami z głuchym łoskotem rumowiska. Jeszcze raz zajrzałem, jakże przedziwnie mi znajomy się wydał, choć teraz poszarpany skalnie, z palcami wież strzelistych niebu groźących, ornamentacją roślinnie dziką przepelniony, asymetryczny, sprawiający wrażenie splątanego każdą swą powierzchnią, każdą przenikający, pnąciami jak sznury. Wrażenie mnie naszło, iż ten stwór przejął elewacją całe moje zagubienie, rozwarstwienie niebywale, cały chaos minionych dni. Sobą mnie wyrażając. Sobą mnie krzyżąc w konwulsjach elektrowstrząsów. W budynku jak twarz moja sportretowana, drzwi głęboko osadzone, w portalu krukami zdobionymi, jakby za małe, jakby donikąd. Kolumny akantem czarnym zwieńczone, a po bokach wejścia kariatydy w liczbie sześć dźwigające z ciężkością koszmaru, majaka sennego pierwsze piętro z rzędem okien wystawnych, łukiem kończonych, w których słońce odbijało się bladością martwą. Jeszcze raz głowę unosząc dostrzegłem hełm patynowy pokryty miejscami mchem zgnilociemnozielonym osadzony na tę budowlę stojącą w sprzeczności do wszelkich stylów architektonicznych mi znanych. Obserwacja mgnieniem oka poczyniona,

uderzyła mnie płasko w twarz. Deja vu. Deja vu. Pulsujące pod skronią. Drżące w powietrzu zawieszistym. Przyłapany tym, przetarłem dłonią oczy piekące od wypatrzenia. Serce odbiło się o pręty pompując krew nierównymi haustami. Powietrza, powietrza. Wzdrygnąłem się wypelzłą z tyłu głowy myślą, pomny słów Madame Curie, pomny jakiegoś nagłego przeczucia, co we mnie zakiełkowało z tym jej niedokończonym zdaniem, tak urwanym rykiem tłumu.

„Są rzeczy znane i nieznanne, a pomiędzy nimi drzwi”

Drzwi do ...? Drzwi do Maison de Sante? Czy to chciała powiedzieć? Czy to widziały moje oczy? Budynek pocztowy drzwiami do Maison de Sante?

Maison de Sante znowu. Jakbym w progi siebie wchodził.

Przecież ... niemożliwe. Wyszedłem, wyszedłem stamtąd przecież. Choć zgrozo, samego tego faktu przypomnieć sobie teraz nie mogłem. Jak? Jak? Tylko to przeświadczenie nie poparte niczym, że tam byłem, a później chłopiec lat może dziesięciu, w koszuli białej, pogniecionej, spodniach krótkich do kolan.

- Babcia obiad Panu podaje i zapytuje, kiedy Pan za czynsz zapłaci? - wyseplecił podając mi metalową menażkę.

Więc jak ja tam, w Maison de Sante? Gdy zaraz zbudzony w kamienicy czynszowej zapachem kartoflanki i pytaniem tak ekonomiczny. Ale zeszyt, ten co wciąż przy sobie za pazuchą miałem, tam na stole brudnym leżał. Jak i tam w murach pokrętnych tak skrupulatnie wypełniany obserwacją, a przecież na cmentarzu, w gabinecie dyrektora banku, w poczekalni, gdy czekałem by rozmówić się ostatecznie z Doktorem Tarr. Wszędzie zeszyt. On mi świadkiem.

Dłońmi zakryłem uszy by głosów w sobie nie słyszeć. Dwieście kroków. Sto dziewięćdziesiąt siedem. Sto dziewięćdziesiąt sześć. Buty same. Sto dziewięćdziesiąt trzy. Rynsztokiem ulicy, obok, wraz z innymi. Sto osiemdziesiąt cztery. Sto osiemdziesiąt trzy. Śpiewać, śpiewać jak najgłośniej z innymi: *“Umiłowany kraj, umiłowany kraj”*. Byle siebie zagłuszyć. Sto siedemdziesiąt pięć. *“Umiłowany kraj.”* Na nic to. Na nic. Czym zaprzątnąć głowę, byle nie myśleć? Każda myśl, każda myśl wtłaczająca mnie w mury. Sto sześćdziesiąt jeden. Skręcić w tamtą ulicę, między kamienicami wydostać się. Sto pięćdziesiąt trzy. W lewo przez tłum. Po tych rękach mnie chwytających, po tych uśmiechach zadowolenia z kości i zwycięstwa w szcurzym wyścigu. Jak znowu? Znowu, znowu w Maison de Sante, mury? Wszak przecież wyszedłem,

klucze do wieży dostałem. Transmisję radiową nadawać miałem, wierszyki w wolnych chwilach pisać. "Dziennik obserwacji" zakończyć sukcesem, ba może nawet wydawcę znaleźć. Ale to "Nevermore" z dzioba kruka w surdut czarny Edgara odziany, gdy ja w uśmiechu kota Behemota, co na kolanach siostry Małgorzaty Nikołajewnej, gdy moje palce na jej udach, a głowa na podołku, językiem czując tę mityczną wilgoć. Sto czterdzieści kroków. Sto trzydzieści dziewięć. A jeżeli nie podołałem pokładanym we mnie nadzieją? A jeżeli terapia dożylna zawiodła i reasumpcja jaka? Zatrzymałem się przygnieciony sobą. Oczy zamknąłem w tłumie mnie ściskającym. Wszak wtedy, na samym początku siebie tworzenia, w przecznicę pod górę poszedłem. Pochyłością, stopniami, przez wyludnioną dzielnicę, gdzie tylko manekiny na sklepowych wystawach. Martwe w ubraniach narzuconych ról.

*Ubrania
prawidłowo przykręcone
maski na twarzach
wypalają codzienne numery fabryczne
jakże obracamy się w miejscu
dumni z odgrywanych ról
za kość w wyścigu
truciznę na szczury*

Odgrywające przedstawienie na deskach teatru absurdu, cały, cały czas zadowolone z siebie.

*Szczęście
ma być
wymalowane na twarzy
wryte w kość
przyspawane do rdzenia
uśmiechnięte
ptaszysko
trzepocze
kącikami ust
jestem
jestem
jestem
tak*

*szczęśliwy
lecz
nie
ja
ja*

Ja nie mogłem nadążyć w tej pogoni za szczęściem. Zmęczony byłem. I chyba dlatego miałem je zostawić za sobą, drzwi przekraczając, siebie na nowo pisząc. I chciałem przejść szybko przez wystawy sklepów, przed zakupem dobrych rad się powstrzymując, cyrografy odrzucając. Na szczycie schodów tam, gdzie drzwi. Tam doktorom się pochylić chciałem. Wszak się pochyliłem. Tam lekarstwo miałem dostać, receptę na życie. Dostałem? Tam uzdrowionym przez retrospekcję wydarzeń, hipnozę podprogową, elektrowstrząsy, portret trumienny ojca, matki galop samobójczy zostać miałem, stać się, być. Czy jestem? Wszak moja dusza wciąż jak szklanka rozbita.

*Ja rozbita szklanka
z myślami tonącymi
w witrażach luster
skręconych spojrzeniem oczodołów
chłodem wybrakowanych
przyzwyczajenia trzymając się kurczowo*

*jeszcze wypitesz mnie
w bezdźwięcznych słowach
smakując językiem
tłumacząc krople bólu
pozwolitesz im spłynąć
w kałuże błota
mówiąc twoja wina*

*przepętniona pustką
krawędzią wyszczerbioną
szklanka
snem*

I teraz, teraz, teraz. W tym tłumie gęsto się przelewającym przeze mnie. Czy oni żywi, czy martwi jak te wówczas manekiny na wystawach? Umiłowany kraj, wszyscy umiłowani, wszyscy zadowoleni z siebie. Boże,

jakiego przekleństwa użyć, co, jak krzyknąć, by siebie prawdziwego usłyszeć, by siebie odnaleźć?

*Jestem zmęczony
nie potrafię już
myśli
udźwignąć*

*w ekstrapolacji
siebie
poza zakresem
mnie*

*gwiazd
puste przestrzenie*

Stałem przedmiotem swoim vis a vie gmachu pocztowego. Popychany, przesuwany, zapadnięty w gwiazd puste przestrzenie. Patrząc na budynek mury widziałem siebie niczym w jakimś lustrze odbitego. Zdarzenia minionych dni, miesięcy, lat co chwila wypływały z postrzępionej elewacji. Wyskakiwały znikąd okna. Nagle otwarte krzyczały nagromadzonym bólem istnienia bytów zamieszkujących gdzieś w przepastnych czeluściach gmachu. Umetafizycznieni masochiści, więźniowie chodzący po obwodzie nieba. Inne okna nieśmiało uchylone zdawały się zapraszać do siebie kusząc łagodną barwą akwamaryny i jej pochodnych rozbrzmiewającą cicho w słowach jasnowidzów, uzdrowicieli oraz mistyków. Jeszcze inne pełne pałt, jesionek gromadzących się tłumnie w tej ludzkiej brei duszącej, rozlewającej się po polach, łąkach i rozłogach, po błoniach i wygonach, bez szacunku do życia innego niż własne.

Okna, okna i znowu okna. Obrazy lustrzane. Słońce odbijało się od brudnych szyb, ale i od szyb wypolerowanych zachłannością fałszywych uśmiechów. Postrzępione zasłanki skrywały powyginane ciała w bezładzie skrępowane łańcuchami migoczących ekranów. Ludzie błądzący w ciemnościach. Ludzie obnażający swoje wyimaginowane wyobrażenia i przerażone myśli. Drzwi w rozchwianych framugach otwarte na wietrze zapraszały, by zatrzaskać się prosto w twarz. Migały powidoki tuż przed oczyma, by szybko zniknąć, niepewne czegokolwiek. Bez ładu, bez składu. Skutek nie wynikał z przyczyny, a przyczyna nie tworzyła odpowiedzi na pytania. Ja, jedyny przedmiot zdarzeń.

Przedmiot. PRZEDMIOT. Kotłowało się w głowie głucho. Odbijany od twarzy, jestem tylko odbiciem. Wciąż, wciąż obserwowany, pod prężeniem istnienia, napędzany wskaźnikiem serotoniny, wyliczonym dopiero co w podziemiach Maison de Sante przez Madame Curie z brzęczących pierwiastków promieniotwórczych poniewierających się w jej szufladzie. Ja, ja PRZEDMIOT, muszę dopisywać słowa w zeszycie. Tworzyć obraz, by choć w snach zaistnieć. Tylko dlaczego?! Tylko po co to wszystko?! Migające zeszyty w dłoniach każdego kto na mnie spojrzy, na kogo spojrzę. Niczym własne odbicia, lustra własnej bezsilności, miny strojone w krwawych okopach zaistnienia.

*Idąc w milczeniu
wokół kroków
pole minami powiewa
trójkątne chorągiewki zaciśniętych twarzy
wyznaczają promień rażenia*

*niosę swój wybuch
zegar odmierza się
obojętnie
od teraz do pięć po
aż*

*eksplozja
mój krzyk*

*nie, to tylko implozja
skowyt żałosny*

*stojąc w milczeniu
kroki przeze mnie
po mnie
szurają sobą*

*zapadnięty
rumowiskiem
twarzy
rumowiskiem
min*

Doktorze Tarr, Profesorze Fether. O przekłęci demiurgowie!!! - przecież ja tylko chciałem być...

- Chodź - szare palto, przesiąknięte deszczem, który chyba ... tak, być może, od dawna nie padał, przywarło do mnie, pochwyciło, ciężarem kropel niewymownych, na mnie zawisło. Jego zszarzała niegdyś czarna toga w procesie winy i kary, ubłocona, przywarła argumentem nie do podważenia. Paragrafem z góry skazującym. Dziesięć palców splamionych inkaustem przebarwień, wczepiło się we mnie. Zapach rozgrzanego dopiero co na srebrnej łyżce beżowego sugar oplótl moje nozdrza.

- Jerzy? - odwróciłem głowę, stając się z miejsca zaskoczonym niespodziewanie. Ja z nim twarzą w twarz. Jego oczy zapadnięte w głębokie doły gliny błotnistej, podkrążone sino, z gałkami biegnącymi nerwowo w stronę budynku. Zwężone źrenice opływały bielą śniegu na szczytach gór legendarnego Nepalu, kontrastując z mimowolnymi skurczami twarzy, na przemian przebiegającymi światłem euforii i cieniem cierpienia. Zaciśnięta kurczowo na moim ramieniu potężna dłoń popychała w kierunku poczty, gdy ja cały czas stałem próbując rozpoznać w tym czymś, zdawać by się mogło, dawno nie widzianego znajomego.

- Pospieszmy się, pospieszmy – ponaglił z napięciem w głosie, wyczuwając w moim ciele może sprzeciw niewydolnością rozbrojenia siebie powodowany, co by zażyć, wciągnąć, wbić. A może powodowany brakiem już siły zwyczajnie ludzkiej w zrzucaniu przynitowanej twarzy, oporu w pozbywaniu się jękliwego czarnego surduta narzuconego na zgarbione ramiona niczego, którym się poczuwałem w świecie ubrań wierzchnich mnie otaczającym.

*Mój czarny surdut
nieprzystosowany
dziurawy jak kosmos
wytarty jak słowa poety
przeżarty bluźniącymi molami
wysłannikami pijanego Krawca
stworzyciela pret-a-porter*

Lub też czując we mnie tylko najzwyklejsze przerażenie, skowyt zwierzęcy, choć jeszcze nie określony, bo wijący się podskórnym. Kolejny krok, gdy żaden z wcześniejszych nie stanął na twardym gruncie. Czy on mógł to zrozumieć? Czy on mógł dać odpowiedź?

- Bagno - wycharczałem mimowolnie zagryzionymi do krwi wargami.
- Chodź, chodź - nie usłyszał mnie wcale i dodał ponagląjąco przywierając do mnie oddechem pospiesznie płytkim - utworzyła nową grupę, w pokoju zagadek za ciężkimi kotarami trójdzielnego okna. A nad wejściem, tak małym jak igły najukochańszej srebrzysty ślad wbity tu, tu – wskazał mi gwałtownie palcem żyłę błękitnie nabrzmiałą, podsuwając mi pod oczy swoje nagie ramię pokryte ropnymi bliznami – maskaron o twarzy puciołowatej z dużymi uszami i spojrzeniem szaleńca w rozbieganym kamiennym wzroku, co wmurowanym nad framugą był, wciąż tam jest.
- Wmurowanym nad framugą - powtórzył szukając w moich oczach potwierdzenia - pamiętasz, pamiętasz? Na pewno pamiętasz!!!
- Ja? – szukałem gorączkowo w pamięci, zbierałem poszarpane myśli z pierwszych dni w Maison de Sante zobrazowane jego potokiem słów. I to „pamiętasz, pamiętasz” przeczące tak drastycznie dopiero co kiełkującym z nadzieją w mojej głowie myślą, że to jaka jedynie halucynacja być musiała.

*czasami wzbijamy się na najwyższą krokwie na poddaszu
łudząc się niebem i srebrzystą nitką halucynacji*

Ale nie, nie. O nie! Rzeczywistość najprawdziwsza.

Tu i teraz.

Czując chłód rozlewający się dożylnie. Czując wciąż ogarniający chłód!

*Scarred
Your back was turned
Curled like an embryo
Take another face
You will be kissed again
I was cold as I mouthed the words
And crawled across the mirror⁸¹*

*A shallow grave
A monument to the ruined age
Ice in my eyes*

⁸¹ The Cure – „Cold” (fragment)

*And eyes like ice don't move*⁸²

- Zaufaj mi. Zaufaj mi – wycharczał, zasyczał wręcz mi wprost do ucha - Już wszyscy tam są, tylko ciebie, tylko ciebie brakuje, aby zamknąć krąg, aby przedawkować sny.

- Mnie?

- Pamiętasz, jak się spotkaliśmy ostatnio w poczekalni pod gabinetem Doktora Tarr?! – odpowiedział ni to pytaniem, ni to stwierdzeniem, głośno na jednym oddechu, przekrzykując ciszę wokół nas i cały czas popychając mnie w kierunku gmachu pocztowego. - Wtedy nie miałem czasu, rozumiesz, cały czas jej szukałem. Tworzyłem w gorączce jakiejś.

- Tworzyłeś?

- No ja tworzyłem, ja taką niewinną, taką błogosławioną nocy ... Profesor Fether, Doktor Tarr obiecali ... w księdze twarzy, gdzie kochasz nie kochasz, lubisz nie lubisz, gdzie nienawiść płynie podskórnie, a zawiść unosi się w fałszywym uśmiechu ... wszystkie te obrazy, cierpienia w jednym miejscu, wypisane, wymalowane na czarnej tablicy pełnej wzruszeń - zawiesił głos jakby jakiś cień powiek, rzes skrzydlaty trzepot przesunął się złowroźnie jakby wskazującym palcem karcąc jego gadatliwość - znaczy ... wiersze pisałem. Rozumiesz? Rozumiesz, jak to jest, gdy na coś jak na kogoś się czeka całe życie? Gdy się śni nie mogąc zasnąć? Zresztą nie ważne. Ty jesteś niezbędny. Ty jesteś trybem, kołem zębatym w maszynie, w tej rozpaczliwej promiennej, która mnie niszczy o tu, tu od środka – uderzył się zaciśniętą pięścią w pierś - która mnie nagrodzi tak sownie. Rozumiesz? Rozumiesz?! - krzyczał po chwili nabrawszy na nowo powietrza, machając połamami palta, togi w potoku paragrafów na świeżo spisanym cyrografie.

- Ja? Nie, nie Jerzy. Zostaw mnie - szarpnąłem się do tyłu bezskutecznie - Jestem zmęczony. Ja nic nie wiem! Nic nie rozumie! Zostaw mnie! Jestem nikim, jestem zbędny.

*Tramwaj zgrzyta świtem
czajnik siorpnieniem herbaty
parzy pragnienie
martwa natura
zdechła wczoraj
wędruje po stole
kominy światowego krematorium*

⁸² The Cure – „Cold” (fragment)

*pejzażem za oknem
niewidzialne robale
korony szaleństwa*

*mlaskam kwaśnym chlebem
uciekam przed siebie
koszę umysł
lobotomia wspomnień
w poprzek
wzdłuż*

i jeszcze raz

*muszę
zająć czymś myśli
by stać się bezmyślnie lekki*

unieść siebie jak piórko na wietrze

odfrunąć

bez ciężaru

*by zagłuszyć!
by zagłuszyć!
by zagłuszyć!*

- Rozumiesz? – krzyknąłem całym sobą w gorączce duszącej. - Jestem tylko urzędnikiem niższego szczebla. Nazywam się Józef K. Urzędnik - przyczepiłem się ostatniego biurka jakie jeszcze dryfowało na falach obłądu, jakie mi jeszcze pozostało, jakie wyciągnąłem z za pazuchy, jak koło ratunkowe, gdy wszystko inne wirowało coraz szybciej. - Józef K - powtórzyłem padając przed nim na kolana w całej swej żałości – Józef K. - Józef K? - Jerzy zatrzymał się w pół kroku jeszcze nie uczynionego, zastygł grymasem pełzającego obrzydzenia na twarzy. - Nie, nie jesteś Józef K - wycedził bardzo powoli przez zęby, tak abym pojął, tak abym zrozumiał.

- Jestem.

- Nie, nie jesteś - głos jego złagodniał, twarz przybrała wyraz sugestywnej jowialności, tak zapamiętany przeze mnie z naszego wspólnego spaceru w ogrodzie Maison de Sante. - Jesteś najzwyklejszym,

najpodlejszym ćpunem latającym po ulicach miasta z portretem trumiennym ojca, byle tylko go sprzedać, wymienić za uncję alaski.

- Nie! Nie! Nie! - zakryłem usilnie dłońmi uszy. - Nazywam się Józef K, jestem urzędnikiem bankowym. Idź do banku, tam obrotowe drzwi, czerwony chodnik, sekretarz co okiem łypie, a za nim dyrektor za biurkiem wysokim, on wszystko wie, on poświadczy... Albo nie! Idź do dozorczyńni w kamienicy, ona ma wnuczka Alosze, on powie, dziecko przecież nie kłamie. Albo, patrz, patrz - wyciągnąłem z kieszeni palta zwinięty rulon, tytułem „Dziennik obserwacji” machając przed nim jak flagą – ja pisarz, ja piszę ...

- Chodź de Cades! - zacisnął wielką dłoń na mej cherlawej duszy, zniecierpliwione palce w uścisku moje ramie objęły popychając w stronę budynku. - Dość tych bzdur.

Moje ciało zwiotczało implozją siebie, bez znaczenia zapadłe.

Nogi, te dwa kikuty, których niezależność od woli objawiła się w zaistniałym momencie całym swoim natręctwem, świergotem w głowie, gwizdem przeciągłym. Nogi, które tak mnie pchały bez opamiętania ku tym strukturom zagmatwanym budynku pocztowego, a które tak nagle zmiękły, w kamieniu ulicy brukowanej się topiąc, mnie topiąc. Dłonie zacisnąłem na nieistniejących krawędziach otoczków, kamieni polnych. Buty, kolana w brei jakiej beztlenowej. Bagnie. Bagnie moim topiąc.

- Idiota - usłyszałem nad sobą, gdy moje palto zwiotczało ciągnionym było - Wszyscy idioci! To ja, ja ja ... stworzyłem! Taką pożądaną. A teraz, ja ... ja ja najbardziej z was pożądam - krzyczał, nade mną stojąc monstrualnie cieniem. Dłońmi jak szpadle grabarzy kamienie rozsuwając, błoto ulicy pokrywające moje ramiona, twarz. - Muszę, muszę, muszę - mamrotał teraz do siebie - Po co wy?! Wy do niczego niepotrzebni. Co za wymysł Doktorów?! - kontynuował. - Ty, Ian, Edgar z tymi waszymi imaginacjami wypalanymi nad skrętem duszy. Po co? Czy myślisz, że nie pamiętam? - znów zaczął podnosić głos coraz i coraz bardziej głos. - Wy, z tymi wizjami - kontynuował wijąc się nade mną swoją posturą - z tymi waszymi słowami, które zlizywaliście ze ścian, odkrywając pod łózkami kolejne strofy poezji. Wy, przywiązani do zakratowanych okien dymem materacy, sczytujący natchnienie z migających obrazów w waszych dłoniach. Wy - krzyczał w oblędzie jakimś zjadliwym - zapisujący swoje zeszyty w nadziei tworzenia sztuki! Głupcy! Głupcy, we władaniu księgi twarzy. To przecież tylko śnieg najbielszy w niekończących się korytarzach Maison de Sante! Śnieg! - zaśmiał się cały sobą w powietrze

nagrzane, w tłum nas otaczający. - A Edgar? – pytał ciągnąc moje ciało w palto obleczone. - Na niekończącym głodzie z ciągle słyszonym trzepotem skrzydeł kruka, co tylko potrafi powiedzieć never more, po najśłodszej Eleonor. Czymże jest ta jego Eleonor, jak nie śniegiem? Alaską, tak czule wam dawkowaną. To ja, tylko ja, wszystko przejrzałem, to ja ją tworzę. Nikt, nikt z was, tylko ja.

*Z porcelany
spękaną
niosłem cię oburącz
wyciągałem w starczych dłoniach
ku niebu stalowemu
przeklinając zamysł lalkarza
taka
delikatna
Eleonor
Eleonor
a on
powtarzał
never more
never more*

- A Ian? Pytasz o Iana? – zapytał mnie, choć słowa żadnego, szarpany jego obłędem, wydusić nie mogłem – On tańczący epileptycznie w dwóch światach i po środku.

*when routine bites hard,
and ambitions are low,
and resentment rides high,
but emotions won't grow,
and we're changing our ways, taking different roads.* ⁸³

On nie powinien nigdy trafić do Maison de Sante, to go zabije. – Jerzy przystanął na moment, poluzował zacisk palców mnie oplatający, jakby nad czymś się głębiej zastanawiając. – Zresztą jest popyt, jest podaż. Rozumiesz? A zresztą jacy jesteśmy w tym wszystkim tragiczni. A to przecież tylko I jeszcze tylu was podobnych! Może dwudziestu, trzydziestu ślepnących nad zdradliwymi stronami księgi twarzy. A wasza liczba może czterdzieści i cztery!!! - śmiech z gardła jego się

⁸³ Ian Curtis / Joy Division – „Love will tear us apart”

rozległ szalony. - Zresztą, wy ... - na powrót zacisnął wielkie dłonie na mych ramionach. Te jego palce, które czułem w jakimś zaplątaniu światów, to zaciskały się na mnie, a to łagodniały przybierając chwilowy wymiar zdroworozsądkowego spojrzenia. A może tylko mi się zdawało. Nagle, przypomniawszy widocznie sobie coś, potrząsnął mną jak kukłą bezwolną – zresztą wy ... ja. Wszyscy my jedynie pensjonariusze Maison de Sante.

*Bądźcie pozdrowieni nadwrażliwi
za waszą czułość w nieczułości świata
za niepewność wśród jego pewności*

*Bądźcie pozdrowieni
za to, że odczuwacie innych tak, jak siebie samych*

*Bądźcie pozdrowieni
za to, że odczuwacie niepokój świata
jego bezdenną ograniczoność i pewność siebie*

*Bądźcie pozdrowieni
za potrzebę oczyszczenia rąk z niewidzialnego brudu świata
za wasz lęk przed bezsenssem istnienia*

Za delikatność nie mówienia innym tego, co w nich widzicie

*Bądźcie pozdrowieni
za waszą niezaradność praktyczną w zwykłym
i praktyczność w nieznanym
za wasz realizm transcendentálny i brak realizmu życiowego*

*Bądźcie pozdrowieni
za waszą wyłączność i trwogę przed utratą bliskich
za wasze zachłanne przyjaźnie i lęk, że miłość mogłaby umrzeć jeszcze przed
wami*

*Bądźcie pozdrowieni
za waszą twórczość i ekstazę
za nieprzystosowanie do tego co jest, a przystosowanie do tego, co być powinno*

*Bądźcie pozdrowieni
za wasze wielkie uzdolnienia nigdy nie wykorzystane*

*za to, że niepoznanie się na waszej wielkości
nie pozwoli docenić tych, co przyjdą po was*

*Bądźcie pozdrowieni
za to, że jesteście leczeni
zamiast leczyć innych*

*Bądźcie pozdrowieni
za to, że wasza niebiańska siła jest spychana i deptana
przez siłę brutalną i zwierzęcą*

za to, co w was przeczutego, niewypowiedzianego, nieograniczonego

za samotność i niezwykłość waszych dróg

bądźcie pozdrowieni nadwrażliwi⁸⁴

- Zrozum, zrozum ja jestem przecież jednym z was. Choć nie, nie. Ja byłem poważanym obywatelem, majątnym. Ja decydowałem paragrafem o winie i karze. Tylko ... - kontynuował Jerzy.

- Wiem, wiem proszę sędzio - chciałem w myślach przytaknąć, gdy jego oczy wyblakłe zapatrzyły się gdzieś przed.

- Ja, mi ... nie wystarczało. Ciągłe czegoś brakowało. Byłem wyspany z siebie pustą szarością, tą nijakością przemykających dni. Nudą duszącą. Marzyłem o czynach romantycznych. Marzyłem o sławie artysty. Pojmujesz, ja sędzia. Wypalony od wewnątrz strach na wróble na środku pola pod Verdun. I wtedy ktoś podał ... spadł najbielszy śnieg. Alaska. Ja, ja ..., myślałem, że gdy się pojawiła, ona była w mojej głowie, wszystko takie proste, jak ją wymyśliłem. Myślałem, że wymyśliłem. Boże, czy ty, mnie słyszysz?! - jego głos co chwila zmieniał barwę tonacji rysując na twarzy zmieniające się stany zagubienia. - Wymyśliłem. Odnalazłem. Stworzyłem muzę moją przekłętą - zaśmiał się szyderczo do siebie, wręcz z siebie. - Ja ją wymyśliłem by zacząć oddychać, a doktorzy, ci dobrzy doktorzy się śmiali podsuwając coraz większe dawki, coraz bardziej nieosiągalne. I przyszliście wy. Drzwiami, oknami, kanałami wciskając się przez ściany, dziury w podłodze. Tak! Tak! Wy pisząc te swoje beznadziejne wiersze, malując obrazy, śpiewając piosenki łudzając się, że ona was uwolni. I zapełniliście korytarze Maison de Sante sobą i świetlistymi zeszytami w dłoniach, a doktorzy obserwowali. Patrzyli przez ten cholerny mikroskop Madame Curie i śmiali się rozsypując

⁸⁴ Kazimierz Dąbrowski – „Przesłanie do nadwrażliwych”

przed wami najbielszy śnieg Alaski. Taki doskonały, prawie za darmo, nic tylko brać.

*I don't want to start any blasphemous rumours
But I think that God's got a sick sense of humor
And when I die I expect to find Him laughing⁸⁵*

Śmiał się, śmiał się wisząc nade mną swoją wielką głową.

- Wy jak te niezliczone spalone kikuty drzew – kontynuował swój szalony monolog - konary w krzyku zwrócone ku niebu błękitnemu, mroczne i pełne bólu w duszy swojej. Jak ja wami gardzę. Tryby w maszynie przekłete!!! Łopatkami obrzydliwe w kole parowym fale Amazonki koszące.

- zamachał ramionami okrężnie dwa koła znak tym do wypłynięcia siebie na bezkresy dając, podczas gdy ja wpatrzony szeroko otwartymi oczami próbowałem cokolwiek pojąć, choć przecież nic już od dawna z siebie i świata mnie walczącego zrozumieć nie mogłem.

- Mój statek w górę rzeki płynąc bez was musi!!! Pod prąd gnany!!! Gnany!!! Przeciwno wszystkim, wszyscy przeciwko. - Chwycił na powrót moją głowę jak w imadło.

- Czy to widzisz? - Wbił kciuki w oczodoły. Czerwone kręgi rozlały się w czerni spojrzenia.

- Czy to słyszysz? - Zatkanął wielkimi jak otoczaki rzeczne dłońmi moje uszy.

- Nie, nie, nie! Nic nie wiesz. Nic nie rozumiesz - odpowiedział sobie rzucając głowę moją na prawo i lewo.

- Moja ...ona. - Puścił mnie, ręce jak do modlitwy złożył w ledwo dyszącym powietrzu. - Ja, ją stworzyłem, ja ją ocalę, siebie ocalę ... przecież nic nie jest tym czym się wydaje. - Przytulił coś co zmaterializowało się tylko przed nim do swego serca walącego ślepo.

*Oh Belladonna, never knew the pain
Maybe I'm crazy, maybe it'll drive me insane
The open letter just carelessly placed
And your moving silence,
the tea so delicately laced*

*Out of reach, out of touch
How you've learned to hate so much
Out of reach, out of touch*

⁸⁵ Depeche Mode – „Blasphemous rumours” (fragment)

*How you've learned to hate so much*⁸⁶

- Ja Fitzcarraldo, ona moją operą. Cztery pięćdziesiąt rubla złotego za uncję białą jak śnieg na pięttrze u lichwiarki Alony Iwanownej. Cztery pięćdziesiąt - syknął z bólem. - Cztery pięćdziesiąt! - wykrzyczał znów w powietrze gorące i lepkie. - W gotówce z rączki do rączki - zaśmiał się znowu - i nie żaden tam portret trumienny ojca. O nie, nie!!! Zresztą nieważne, już takie to nieważne, student Roskołnikow zabił lichwiarkę, źródło nasze wyssane, wyschłe do ostatniego grama. - Zacerpnął powietrza. - I jak my teraz, somnambulicy Maison de Sante, dotrwamy świtu? - Śmiech w łzy szkaradne, łzy klauna na sprężynie, w łzy na jego polikach się skropił. - A ty taki głupi, durok jeden, wszak ja, ja ją stworzyłem! - głos jego się załamał sobą zgnieciony. Sobą przerażony, wszak przecież on zgodny, przyjazny światu, łagodny mężczyzna co rykiem lwa ogłaszał przybycie. Sędzia w czarnej todze, w procesie przesławnym, acz niekończącym się, urzędnika bankowego Józefa Ka.

Tym wrażeniem siebie zapomnianym padł obok mnie. W środku tłumu błotnisteo zalegliśmy. Powyginane ciała, powykręcane ręce, nogi, chaotycznie porozrzucane. Tłum palt wieszcząc koniec przedstawienia buciorami, trepami drewnianymi szurając rozpoczął na nowo przez nas swój przemarsz.

- Ja ją stworzyłem - dodał Jerzy jeszcze raz tak cicho, niesłyszalnie już cicho.

- Jak to stworzyłeś? - niemo oczami zapytałem, językiem czarnoziem w ustach mieląc, oddech jakikolwiek jeszcze próbując uchwycić spod fali zalewającej ciemnością. W ciemność się osuwając, jeszcze raz cicho, cicho, niesłyszalnie zapytałem - jak to stworzyłeś?!

Zapaliły się we mnie, we mnie wciąż na bruku leżącym, przestrzenie myśli, zapaliły dymem płonących materacy. Ogień jęczący cienie wydłużył, krawędzie upadku rozświetlił, bym palcami się uczeplił. Bym wspiał się po nich po schodach jakiejś wieży spalonej, siebie tam w dole, na ulicy, ciało swoje porzucone, widząc.

- Jak to stworzyłeś? - zapytałem Boga po mojej prawicy na zydlu siedzącego z fujarką wśród owieczek martwych, co żywcem spalone wznosiły modlitwę ku przenajświętszej Notre Dame.

- Ja stworzyłem? - Profesor Fether swoim mięsem galaretowatym upakowanym w fiolet kamizelki zaśmiał się płosząc szczury.

⁸⁶ UFO – „Belladonna”

*Stanął w ogniu nasz wielki dom
Dym w korytarzach kręci sznury
Jest głęboka, naprawdę czarna noc
Z piwnic płonące uciekają szczury⁸⁷*

Śmiech, śmiech, śmiech.

Zaczerpnąłem powietrza, żar mi w gardło dziurawe się wlał.

- Jak to stworzyłeś? - zapytałem Boga po mojej lewicy siedzącego na powycieranym aksamicie tronu w gabinecie ojca pod portretem trumiennym jego własnym, w oku obserwacyjnym, w ogniu błękitnym nigdy niewydanych wierszy matki, na zawsze spalonych, w czerwonej szacie sanbenitos w dniu auto-da-fe.

- Wariat, wariat, kuku na muniu, wariat - długi niemilosierdzie, chudy bezlitośnie palec Doktora Tarr zawisł nade mną wskazaniem bez wskazówkowego czarnego zegara ze ściany oddziału męskiego w Maison de Sante, gdzie biurko zwaliste Siostry Strażniczki wyjścia pilnowało.

*Krzyczę przez okno czoło w szybę wgniatam
Haustem powietrza robię w żarze wyłom
Ten co mnie słyszy ma mnie za wariata
Woła - co jeszcze świrze ci się śniło⁸⁸*

Śmiech, śmiech, śmiech.

Śmiech.

Złapałem płot żeliwny nagrobny, dostępu do ojca martwego broniący przy ulicy Ogrodowej nr 2, lawą krwistą spłynął mi przez dłonie wypalając czarną dziurę kosmosu na kartce pisanej w szarym zeszycie jakże gwiazdziście migającym w tej godzinie.

- Jak to stworzyłeś, a dziennik obserwacji? - zapytałem Boga w poczekalni pełnej pacjentów mądrych doktorów, gdzie relief czerwoną lampą dróżnika szeptał wyschniętymi ustami „W życia wędrówce, na połowie czasu, zniesiony stopą w obłądne koleje, pośród ciemnego znalazłem się lasu.”⁸⁹,

⁸⁷ Jacek Kaczmarski - „Stanął w ogniu nasz wielki dom”

⁸⁸ Jacek Kaczmarski – „Stanął w ogniu nasz wielki dom”

⁸⁹ Dante Aligieri – „Boska komedia”

a oni zerwali się do mnie machając przed oczami rozświetlonymi okładkami zeszytów.

- Pisz, pisz, spowiadaj się nam - podjął inkatację chór okrążając ochestrę, zaczerpnął na raz powietrza wznosząc się wyżej o oktawy boleści fałszywej by dodać w ciszy zapadłej – a Bóg, kiedy umrzesz będzie się tylko śmiał, a Bóg, kiedy umrzesz będzie się tylko śmiał.

*Więc chwytam kraty rozgrzane do białości
Twarz swoją widzę, twarz w przekleństwach
A obok sąsiad patrzy z ciekawością
Jak płonie na nim kaftan bezpieczeństwa⁹⁰*

Śmiech, śmiech, śmiech.

Śmiech, śmiech.

Gorącym językiem liznąłem srebrzysty klucz żurawi co nad pokojem w kamienicy urzędnika bankowego Józefa Ka spłynął lotem kukułczym po cztery pięćdziesiąt rubla za uncję najbielszego śniegu.

- Jak to stworzyłeś, za cztery pięćdziesiąt? - zapytałem Boga w łachmanach lichwiarki Alony Iwanownej ukrzyżowanego dylematem moralnym studenta Roskolnikowa.

- O czym ty kurwa mówisz? - odezwał się student Roskolnikow dzieląc śnieżne działki alaski na portrecie trumiennym ojca mojego. - Jedna dla mnie, jedna dla ciebie, jedna dla Edgara, jedna dla Jerzego, jedna dla Iana - podczas gdy ja z matką, matuszką, Sylwią, zwinięci, ściśnięci pasami białych ścian Maison de Sante wybaczyliśmy sobie codzienne przedawkowanie poezji.

*Dym w dziurce od klucza a drzwi bez klamek
Pękają tynki wzdłuż spoconej ściany
Wsuwam swój język w rozpalony zamek
Śmieje się za mną ktoś jak obłąkany⁹¹*

Śmiech, śmiech, śmiech.

Śmiech, śmiech, śmiech.

Ogniem objął mnie czule rękaw kaftana bezpieczeństwa i ściana migocząca świetlicie jak kartka w zeszycie złuszczyła farbę pod łóżkiem, ropnie wybroczynami wierszy na sznurze opłotła, związała, zapętlila, kręcących się wokół osi umysł zniewoliła.

⁹⁰ Jacek Kaczmarski – „Stanął w ogniu nasz wielki dom”

⁹¹ Jacek Kaczmarski – „Stanął w ogniu nasz wielki dom”

- Jak to stworzyłeś, imaginacjami? - zapytałem Boga, co usiadł na Pallady biustu scenie.

- *Jarhmillionen hatte er gestanten vor Gottes Tron, als hütte wechte und bewahre. Doch als der Sohns zurück gekommen wahr, griff seine Hand ins Lehre. Er stand vor Gott und sah ihn nicht, er rich nach Gott vergebens, und seine Sehle weite. (...) Satanas Triumphato.*⁹²

- Co?

- Nic - kot Behemot przeciągnął się, łyknąwszy wcześniej benzyny z prymusa złocistego jak krucyfiks, otarł się perfumem wysublimowanym z wilgotnego łona Siostry Małgorzaty Nikołajewnej w zakładzie na Pont au Change w samo południe wieku osiemnastego.

*Ci przywiązani dymem materaców
Przepowiadają życia swego słowa
Nam pod nogami żarzą się posadzki
Deszcz iskier czerwonych osiada na głowach*⁹³

Śmiech, śmiech, śmiech.

Śmiech, śmiech, śmiech.

*Lecz większość śpi nadal, przez sen się uśmiecha
A kto się zbudzi nie wierzy w przebudzenie
Krzyk w wytłumionych salach nie zna ech
Na rusztach łóżek milczy przerażenie*⁹⁴

Śmiech, śmiech, śmiech.

Śmiech, śmiech, śmiech.

*Dym coraz gęstszy, obcy ktoś się wdziera
A My wciśnięci w najdalszy sali kąt
"Tędy!" - wrzeszczy - "Niech was jasna cholera!"
A my nie chcemy uciekać stąd.*

*A my nie chcemy uciekać stąd!
Krzyczymy w szale wściekłości i pokory
Stanął w ogniu nasz wielki dom!
Dom dla psychicznie i nerwowo chorych!*⁹⁵

⁹² Blood Axis - „Der Geffalene Engel”

⁹³ Jacek Kaczmarski – „Stanął w ogniu nasz wielki dom”

⁹⁴ Jacek Kaczmarski – „Stanął w ogniu nasz wielki dom”

⁹⁵ Jacek Kaczmarski – „A my nie chcemy uciekać stąd”